

**BOLESŁAW
PRUS**

ANTEK

Bolesław Prus

Antek

«Public Domain»

Prus B.

Antek / B. Prus — «Public Domain»,

Talent nie zawsze jest błogosławieństwem. Jedno z najbardziej poczytnych opowiadań Bolesława Prusa. Brutalny obraz XIX-wiecznej wsi, biednej i zacofanej, tym bardziej wyrazisty, że skonfrontowany z marzeniami i potencjałem dorastającego chłopca. Antek jest bystry i zdolny, jednak jego talent stanowi bardziej zawadę niż atut. Zręczne ręce i pojętność to za mało, żeby ocalić siostrę przed przerażającymi znachorskimi praktykami; za dużo, żeby zdobyć pracę u kowala. Czy chłopiec ma jakąkolwiek szansę na szczęśliwe życie? Bolesław Prus (właściwie Aleksander Głowacki) był doskonałym obserwatorem, co znalazło odzwierciedlenie w jego twórczości. Współpracował z wieloma gazetami, a ukazujące się w „Kurierze Warszawskim”, opisujące życie miasta, Kroniki cieszyły się dużą popularnością. Większość jego utworów była publikowana najpierw na łamach prasy. Brał udział w licznych inicjatywach społecznych i oświatowych. W testamencie ufundował stypendium dla zdolnych dzieci z ubogich wiejskich rodzin.

© Prus B.

© Public Domain

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

9

Bolesław Prus

Antek

Antek urodził się we wsi nad Wisłą.

Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadziste, porośnięte sosnowym lasem, a od południa wzgórze garbate, zasypane leszczyną, tarniną i głogiem. Tam najgłośniej śpiewały ptaki i najczęściej chodziły wiejskie dzieci rwać orzechy albo wybierać gniazda.

Kiedyś stanął na środku wsi, zdawało ci się, że oba pasma gór biegną ku sobie, ażeby zetknąć się tam, gdzie z rana wstaje czerwone słońce. Ale było to złudzenie.

Za wsią bowiem ciągnęła się między wzgórzami dolina przecięta rzeczułką i przykryta zieloną łąką.

Tam pasano bydłatka i tam cienkonogie bociany chodziły polować na żaby kukające wieczorami.

Od zachodu wieś miała tamę, za tamą Wisłę, a za Wisłą znowu wzgórza wapienne, nagie.

Każdy chłopski dom, szarą słomą pokryty, miał ogródek, a w ogródku śliwki węgierki, spomiędzy których widać było komin sadzą uczerniony i pożarną drabinę. Drabiny te zaprowadzono nie od dawna, a ludzie myśleli, że one lepiej chronić będą chaty od ognia niż dawniej bocianie gniazda. Toteż gdy płonął jakiś budynek, dziwili się bardzo, ale go nie ratowali.

– Widać, że na tego gospodarza był dopust boski – mówili między sobą. – Spalił się, choć miał przecie nową drabinę i choć zapłacił **śtraf**¹ za starą, co to były u niej połamane szczeble.

W takiej wsi urodził się Antek. Położyli go w niemalowanej kołysce, co została po zmarłym bracie, i sypiał w niej przez dwa lata. Potem przyszła mu na świat siostra, Rozalia, więc musiał jej miejsca ustąpić, a sam, jako osoba dorosła, przenieść się na ławę.

Przez ten rok kołysał siostrę, a przez cały następny – rozglądał się po świecie. Raz wpadł w rzekę, drugi raz dostał batem od przejezdnego furmana za to, że go o mało konie nie stratowały, a trzeci raz psy tak go pogryzły, że dwa tygodnie leżał na piecu. Doświadczył więc niemało. Za to w czwartym roku życia ojciec podarował mu swoją sukienną kamizelkę z mosiężnym guzikiem, a matka – kazała mu siostrę nosić.

Gdy miał pięć lat, użyto go już – do pasania świń. Ale Antek nie bardzo się za nimi oglądał. Wolał patrzeć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapiennym wzgórzem raz na raz pokazywało się coś wysokiego i czarnego. Wyłaziło to z lewej strony jakby spod ziemi, szło w górę i upadało na prawo. Za tym pierwszym szło zaraz drugie i trzecie, takie samo czarne i wysokie.

Tymczasem świnię swoim obyczajem wlaży w kartofle. Matka spostrzegłszy to zawinęła się wedle sukiennej kamizelki Antkowej, tak że chłopiec prawie tchu nie mógł złapać. Ale że nie miał w sercu zawziętości, bo było z niego dziecko dobre, więc wykrzyczawszy się i wydrapawszy – kamizelkę, zapytał matki:

– Matulu! A co to takie czarne chodzi za Wisłą?

Matka spojrzała w kierunku Antkowego palca, przysłoniła oczy ręką i odparła:

– Tam za Wisłą? Cóż to, nie widzisz, że wiatrak chodzi? A na drugi raz pilnuj świń, bo cię pokrzywami wysmaruję.

– Acha, wiatrak! A co on, matulu, za jeden?

– At, głupiś! – odparła matka i uciekła do swojej roboty. Gdzie ona miała czas i rozum do udzielania objaśnień o wiatrakach!

Ale chłopcu wiatrak spokojności nie dawał. Antek widywał go przecie co dzień. Widywał go i w nocy przez sen. Więc taka straszna urosła w chłopcu ciekawość, że jednego dnia zakradł się do promu, co ludzi na drugą stronę rzeki przewoził, i popłynął za Wisłę.

¹ *śtraf* (z niem.) – kara. [przypis edytorski]

Popłynął, wdrapał się na wapienną górę, akurat w tym miejscu, gdzie stało ogłoszenie, aby tędy nie chodzić, i zobaczył wiatrak. Wydał mu się budynek ten jakby dzwonnica, tylko w sobie był grubszy, a tam gdzie na dzwonnicy jest okno, miał cztery tegie skrzydła ustawione na krzyż. Z początku nie rozumiał nic – co to i na co to? Ale wnet objaśnili mu rzecz pastuchowie, więc dowiedział się o wszystkim. Naprzód o tym, że na skrzydła dmucha wiatr i kręci nimi jak liśćmi. Dalej o tym, że w wiatraku miele się zboże na mąkę, i nareszcie o tym, że przy wiatraku siedzi młynarz, co żonę bije, a taki jest mądry, że wie, jakim sposobem ze śpichrzów wyprowadza się szczury.

Po takiej pogładowej lekcji Antek wrócił do domu tą samą drogą co pierwiej. Dali mu tam przewoźnicy parę razy w łeb za swoją krwawą pracę, dała mu i matka coś na sukienną kamizelkę, ale to nic: Antek był kontent, bo zaspokoił ciekawość. Więc choć położył się spać o głodzie, marzył całą noc to o wiatraku, co mieli zboże, to o młynarzu, co bije żonę i szczury wyprowadza ze śpichrzów.

Drobny ten wypadek stanowczo wpłynął na całe życie chłopca. Od tej pory – od wschodu do zachodu słońca – strugał on patyki i układał je na krzyż. Potem wystrugał sobie kolumnę; próbował, obciosywał, ustawiał, aż nareszcie wybudował mały wiatraczek, który na wietrze obracał mu się jak tamten za Wisłą.

Cóż to była za radość! Teraz brakowało Antkowi tylko żony, żeby mógł ją bić, i już byłby z niego prawdziwy młynarz!

Do dziesiątego roku życia zepsuł ze cztery koziki, ale też strugał nimi dziwne rzeczy. Robił wiatraki, płoty, drabiny, studnie, a nawet całe chałupy. Aż się ludzie zastanawiali i mówili do matki, że z Antka albo będzie majster, albo wielki gałgan.

Przez ten czas urodził mu się jeszcze jeden brat, Wojtek, siostra podrosła, a ojca drzewo przytknęło – w lesie.

W chacie była z Rozalią wielka wygoda. Dziewczyna zimą zamiatała izbę, nosiła wodę, a nawet potrafiła krupnik ugotować. Latem posyłano ją do bydła z Antkiem, bo chłopak zajęty struganiem nigdy się nie dopilnował. Co go nie nabili, nie naprosili, nie napałkali się nad nim. Chłopak krzyczał, obiecywał, płakał nawet razem z matką, ale robił swoje, a bydło wciąż w szkodę wchodziło.

Dopiero gdy siostra razem z nim pasła, było lepiej: on strugał patyki, a ona pilnowała krów.

Nieraz matka widząc, że dziewczucha, choć młodsza, ma więcej rozumu i chęci aniżeli Antek, załamywała z żalu ręce i lamentowała przed starym kumem, Andrzejem:

– Co ja pocznę, nieszczęsna, z tym Antkiem odmieńcem? Ani to w chacie nic nie robi, ani bydła doglądnie, ino wciąż kraje te patyki, jakby co w niego wstąpiło. Już z niego, mój Andrzeju, nie będzie chyba gospodarz ani nawet parobek, tylko darmozjad na śmiech ludziom i obrazę boską!...

Andrzej, który za młodu praktykował flisactwo i dużo świata widział, tak pocieszał strapioną wdowę:

– Jużci, gospodarzem on nie będzie, to darmo, bo on na to nie ma nawet dobrego rozumu. Jego by zatem trza naprzód do szkoły, a potem do majstra. Nauczy się z książki, nauczy się rzemiosła i jeżeli nie zgałanieje, będzie żył.

Na to wdowa odpowiedziała, wciąż łamiąc ręce:

– Oj, kumie, co wy też gadacie. A czy to nie wstyd gospodarskiemu dziecku rzemiosła się imać i byle komu na obstalunek robotę robić?

Andrzej puścił dym z drewnianej fajeczki i rzekł:

– Jużci, że wstyd, ale rady na to nie ma nijakiej.

Potem, zwracając się do Antka siedzącego na podłodze przy ławie, zapytał:

– No gadaj, wisus, czym ty chcesz być? Gospodarzem czy u majstra?

A Antek na to:

– Ja będę stawiał wiatraki, co zboże mielą.

I odpowiadał tak zawsze, choć nad nim kiwano głowami, a jak czasem to i miotłą.

Miał już dziesięć lat, kiedy pewnego razu ośmioletnia wówczas siostra jego, Rozalia, strasznie zaniemogła. Jak się położyła z wieczora, to się jej na drugi dzień dobudzić było trudno. Ciało miała gorące, oczy błędne i gadała od rzeczy.

Matka z początku myślała, że dziewczyna przyczaja się, dała jej więc parę szturchańców. Ale gdy to nie pomogło, wytarła ją gorącym octem, a na drugi dzień napiła wódkę z piołunem. Wszystko na nic, a nawet gorzej, bo po wódce wystąpiły na dziewczuchę sine plamy. Wtedy wdowa przetrząsnawszy szmaty, jakie tylko były w skrzyni i w komorze, wybrała sześć groszy i wezwała na ratunek Grzegorzową, wielką znachorkę.

Mądra baba obejrzała chorą uważnie, opluła koło niej podłogę jak należy, posmarowała ją nawet sadłem, ale – i to nie pomogło.

Wtedy rzekła do matki:

– Napalcie, kumo, w piecu do chleba. Trza dziewczynie zadać na dobre poty, to ją odejdzie.

Wdowa napaliła w piecu jak się patrzy i wygarnęła węgle czekając dalszych rozkazów.

– No, teraz – rzekła znachorka – połóżć dziewczuchę na sosnowej desce i wsadzić ją w piec na trzy zdrowaśki. Ozdrowieje wnet, jakby kto ręką odjął!

Istotnie, położono Rozalię na sosnowej desce (Antek patrzył na to z rogu izby) i wsadzono ją, nogami naprzód, do pieca.

Dziewczyna, gdy ją gorąco owiało, ocknęła się.

– Matulu, co wy ze mną robicie? – zawołała.

– Cicho, głupia, to ci przecie wyjdzie na zdrowie.

Już ją wsunęły baby do połowy; dziewczyna poczęła się rzucać jak ryba w sieci. Uderzyła znachorkę, schwyciła matkę obu rękami za szyję i wniebogłose krzyczała:

– A dyć wy mnie spalicie, matulu!...

Już ją całkiem wsunięto, piec założono deską i baby poczęły odmawiać trzy zdrowaśki...

– Zdrowaś, Panno Mario, łaski pełna...

– Matulu! matulu moja!... – jęczała nieszczęśliwa dziewczyna. – O matulu!...

– Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami...

Teraz Antek podbiegł do pieca i schwycił matkę za spódnicę.

– Matulu! – zawołał z płaczem – a dyć ją tam na śmierć zabolili!...

Ale tyle tylko zyskał, że dostał w łeb, ażeby nie przeszkadzał odmawiać zdrowasiek. Jakoś i chora przestała bić w deskę, rzucać się i krzyżeć. Trzy zdrowaśki odmówiono, deskę odstawiono.

W głębi pieca leżał trup ze skórą czerwoną, gdzieniegdzie oblażłą.

– Jezu! – krzyknęła matka ujrzawszy dziewczynę niepodobną do ludzi.

I taki ogarnął ją żal za dzieckiem, że ledwie pomogła znachorce przenieść zwłoki na tapczan. Potem uklękła na środku izby i, bijąc głową w klepisko, wołała:

– Oj, Grzegorzowa!... A cóż wyście najlepszego zrobili!...

Znachorka była markotna.

– Et!... Cicho byście lepiej byli... Wy może myślicie, że dziewuszysko od gorąca tak sczerwieniło? To tak z niej choroba wylazła, ino że trochę za prędko, więc i umorzyła niebogę. To wszystko przecie z mocy boskiej.

We wsi nikt nie wiedział o przyczynie śmierci Rozalii. Umarła dziewczucha – to trudno. Widać, że już tak było przeznaczone. Alboż to jedno dziecko co rok we wsi umiera, a przecie zawsze ich jest pełno.

Na trzeci dzień włożono Rozalię w świeżo zheblowaną trumienkę z czarnym krzyżem, trumnę ustawiono w gnojownicach i powieszono dwoma wołami za wieś, tam gdzie nad zapadniętymi mogiłami czuwają spróchniałe krzyże i białokore brzozy. Na nierównej drodze trumienka skrzywiła się trochę na bok, a Antek, trzymający się fałdów spódnicy matczynej, idąc za wozem myślał:

„Musi tam być źle Rozalce, kiedy się tak poprawia i na bok przewraca!...”

Potem – pokropił ksiądz trumnę święconą wodą, czterech parobków spuściło ją na szalach do grobu, przywaliło ziemią – i tyle wszystkiego.

Wzgórza z lasem szumiącym i te, na których krzaki rosły, zostały tam, gdzie były. Pastusi jak dawniej grali na fujarkach w dolinie i życie szło, wciąż szło swoją koleją, choć we wsi nie stało jednej dziewczuchy.

Przez tydzień mówiono o niej, potem zapomniano i opuszczono świeży grób, na którym tylko wiatr wzdychał i świergotały polne koniki.

A jeszcze potem spadł śnieg i nawet koniki wystraszył.

W zimie gospodarskie dzieci chodziły do szkoły. A że z Antka nie spodziewała się matka żadnej pomocy w gospodarstwie, raczej zawadę, więc poradziwszy się kuma Andrzeja postanowiła oddać chłopca na naukę.

– A czy mnie we szkole nauczą wiatraki budować? – pytał Antek.

– Oho! Nauczą cię nawet w kancelarii pisać, byleś ino był chętny.

Wzięła tedy wdowa czterdzieści groszy w węzełek, chłopca w garść i ze strachem poszła do nauczyciela. Wszedłszy do izby zastała go, jak sobie łątał stary kozuch. Pokłoniła mu się do nóg, doręczyła przyniesione pieniądze i rzekła:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.